



P. 3827

Oplata pocztowa uiszczona ryczałtem

Chcę

Dwutygodnik

Poznać

popularno-
naukowy

Nr. 3 (4)

Wszystko

7 lutego 1929 r.

Cena 30 gr.

Afganistan.

Ledwie przebrzmiały echa zeszłorocznej podróży po Europie króla Afganistanu — Amanullaha, a już znowu w gazetach pełno różnych wiadomości z tego dalekiego kraju.

Niejednen chłop, widząc tak liczne i częste wiadomości o Afganistanie w naszych gazetach, myśli zapewne, że ów Afganistan — to widać potężny kraj, skoro się nim tak wszyscy w Europie zajmują, chociaż leży on gdzieś daleko w Azji.

Tymczasem naprawdę Afganistan — położony w samym środku Azji — zajmuje wprawdzie 731 tysięcy kilometrów kwadratowych (prawie dwa razy tyle co Polska), ale liczy w przybliżeniu najwyżej tylko 8 milionów ludności, przytem jest to kraj górzysty, jeszcze dziki, nieposiadający prawie wcale dróg bitych i ani jednej kolei.

Bogactwa mineralne (nafta, węgiel, ruda żelazna i t. d.) Afganistanu mało są zbadane i nie wydają się być specjalnie wielkimi. Niemal jedna czwarta ludności trudni się jeszcze

pasterstwem i prowadzi koczowniczy (bez stałej siedziby) sposób życia. Przemysł fabryczny stawia pierwsze kroki, zatrudniając ogółem wszystkiego sześć tysięcy ludzi.

Budżet państwowy wynosi rocznie po przeliczeniu na naszą walutę wszystkiego od 90 do 120 milionów złotych.

Z powyższego krótkiego opisu widać wyraźnie, że Afganistan nie jest bynajmniej potężnym krajem. I dlatego dziwnem musi się wydawać, dlaczego o nim tak głośno w Europie i dlaczego powstanie, które obecnie tam wybuchło i zmusiło nawet króla Amanullaha do zrzeczenia się tronu doznało tak mocnego poparcia ze strony Anglii, jak to stwierdzają jednomyślnie wszystkie gazety. A takie mocne poparcie powstańców afgańskich ze strony Anglii wydaje się na pierwsze spojrzenie tem dziwniejszem, że powstanie wybuchło w imię zachowania starych zwyczajów (między innymi haremu i związanej z niemi niewoli kobiety)

przeciw usiłowaniom króla Amanulaha wprowadzenia do Afganistanu kultury europejskiej. Jakto?

zdziwi się znowu niejeden nieświadomy rzeczy chłop. Jak to sobie wytłumaczyć?



Wyprawa do nieznannej doliny w górach afgańskich.

Anglja popiera zamierzcłą barbarzyńską kulturę przeciw kulturze europejskiej, której sama jest ponoć najwybitniejszą przedstawicielką? —

Tymczasem sprawa jest bardzo prosta. Anglja jest zawsze gotowa sprzymierzyć się z najgorszą ciemnością i z najbardziej barbarzyńską kultu-

ra, ilekroć tylko wymagają takiego przymierza kolonialne interesy Anglii. Utrzymanie zaś Afganistanu w zależności od siebie jest dla Anglii nadzwyczaj ważne, ponieważ Afganistan graniczy na południu z najważniejszą kolonią angielską — Indjami a na północy bezpośrednio z Z.S.R.R. Wszelkie więc uniezależnienie się Afganistanu od Anglii grozi wzmo-

Wykorzystując więc wielkie przywiązanie ludności Afganistanu do przepisów religii mahometańskiej, którą wyznają zarówno Afgańcy, jak i inne plemiona zamieszkujące Afganistan, Anglicy poparli bunt ciemnych mahometan przeciwko reformom Amanullaha. Ludność Afganistanu nieświadoma rzeczy walczy w swoim przekonaniu o „święte”



Mieszkańcy gór afgańskich używają oswojonych orłów do polowania.

cieniem indyjskiego ruchu narodowego, który i tak znajduje obecnie swój wyraz w licznych buntach uciskanych hindusów, przysparzając Anglii nielada kłopoty i budząc obawę wielkiej rewolucji narodowej (na wzór Chin.) Nic zaś nie zapewnia w sposób tak pewny trwałości wpływów Anglii w Afganistanie, jak powstrzymanie rozwoju ekonomicznego tego kraju.

prawa religijne, a tymczasem naprawdę — jak widzieliśmy — walczy w imię dalszego ucisku Indyj przez Anglię oraz w interesie różnych naczelników plemion, którzy i nadal — jak dotychczas — otrzymywać będą od anglików znaczne łapówki za uległość i posłuszeństwo.

Dążenia do przebudowy ekonomicznej i gospodarczej kraju znajdują w Afganistanie tem podatniejszy

grunt, że Afganistan graniczy na zachodzie z Persją, która — wraz z dalej położoną na zachód — Turcja przekształca się ostatnimi czasy szybko w nowoczesne kapitalistyczne państwo. Wpływy zaś perskie są w Afganistanie bardzo wielkie, jako że Afganistan należał kiedyś do Persji, a i dotychczas język perski jest językiem domowym bardziej wykształconych afgańczyków.

Rozumiejąc podstawy zamętu obecnego w Afganistanie i zdając sobie sprawę ze specjalnej roli tego kraju płynącej z jego położenia gospodarczego, czytelnik z ciekawością zaznajomi się zapewne z ustrojem społecznym i politycznym Afganistanu i jego dotychczasową historją aż po dzień dzisiejszy. Zwłaszcza że ta historia jest typową dla różnych niby to niepodległych, a naprawdę zależnych od woli wielkich mocarstw państw i państewek.

Swego rodzaju panującą narodowością Afganistanu są Afganowie.

Wyższą rządzącą klasę stanowią t. zw. — Serdarowie — potomkowie naczelników plemion afgańskich, którzy przeszli na służbę do emira: taki tytuł do niedawna nosili władcy Afganistanu. Serdarowie są jedynymi w kraju posiadaczami wielkich majątków ziemskich, z których ciągną zyski, jak również zajmują wszystkie wyższe stanowiska w administracji państwowej. Dzięki zyskom ze swych majątków, z łapówek wymuszanych od ludności i judaszowych darów angielskich Serdarowie potrafili skupić w swą rękę większe kapitały, które pod postacią lichwiarskich pożyczek umieszczają w handlu. W ten sposób reprezentują oni nie-

tylko interesy wielkich właścicieli ziemskich, ale i kapitału handlowego. Nieco na uboczu stoi arystokracja innych plemion, której pozostawiono honory, ale nie dano dochodów i stanowisk administracyjnych.

Duchowieństwo muzułmańskie większej roli politycznej nie odgrywa. Burżuazja miejska nieliczna, ekonomicznie i politycznie uzależniona od Serdarów, dotąd większego znaczenia nie posiada.

Chłopi plemion afgańskich potrafią się jeszcze utrzymać przy ziemi i prowadzą samodzielne gospodarstwa. Jednak gospodarstw wielkochłopskich prawie niema. Na kresach afgańskich zaś chłopi narodowości podległych zostali już niemal całkowicie wyzuci z ziemi i stanowią klasę najemników wiejskich.

Robotników fabrycznych prawie niema — drobnych rzemieślników naturalnie jest znacznie więcej; warunki pracy bardzo ciężkie tak, że naprz. na fabryki rządowe werbuje się robotników nawet przymusem. (Niewolnictwo prawnie zniesiono w Afganistanie dopiero w 1921 r.) Co do ustroju politycznego Afganistanu, to emir uważa się za władcę nieograniczonego, ale naprawdę górskie plemiona są niemal całkowicie niezależne od jego władzy. Podobnie naznaczani przez emira namiestnicy są faktycznymi władcami nieograniczonymi swych prowincyj.

Dla Europejczyków Afganistan długo pozostawał krajem niedostępnym. Dopiero w roku 1839, niby przywołani na pomoc przez jednego z kandydatów do tronu afgańskiego, wkroczyli do kraju i zajęli stolicę Kabul Anglicy. Ale już w 1841 r. wybuchło

ogólne powstanie antyangielskie: wszyscy Angliki zostali wymordowani.

W rok potem pomścili Angliki swą klęskę, burząc Kabul, jednak nie zdołali na stałe opanować tego dzikiego i niedostępnego kraju.

Tymczasem carat rosyjski szerzył swe podboje w środkowej Azji i dotarł do granic Afganistanu. W roku 1878 przybyło do Kabulu pierwsze poselstwo rosyjskie i za jego poduszczeniem wygnano z kraju zupełnie Anglików i powsta angielskiego.

W odpowiedzi rząd angielski w roku 1879 przedsięwziął wielką wyprawę zbrojną przeciw Afganistanowi i zdołał mniej więcej opanować kraj. — Anglikom otwarto dostęp w głąb kraju, emir afgański zobowiązał się swe stosunki z zagranicą prowadzić tylko za pośrednictwem Anglii.

Za tę uległość wypłacano mu co rok milion dolarów. W Afganistanie Anglia zastosowała więc zwykle swe sposoby ujarzmiania obcych ludów ich własnymi rękami. Przekupując różne książątka i naczelników plemion, podtrzymując ich władzę nad ludem, rząd angielski w taki sposób narzuca i utrzymuje swoje panowanie nad wielomiljonową ludnością swych kolonij i półkolonij.

Te same sposoby zastosowano i w Afganistanie, wzięwszy na żołąd samego emira.

Carat postępował mniej więcej podobnie, może często bardziej otwarcie i prosto, nic więc dziwnego, że cała walka między tymi zaborcami kolonij zakończyła się ugodą, „po-

działem wpływów“ (jak to nazwano w dyplomacji), gdy tylko zjawił się nowy drapieżnik — Niemcy.

Na mocy tej ugody Afganistan pozostał wyłączną sferą wpływów Anglii, a carat zadowolił się północną Persją.

Położenie uległo gruntowej zmianie po rewolucji rosyjskiej. Rewolucja ta obudziła narody kolonialne do walki o swe wyzwolenie.

W Afganistanie już w roku 1919 obalono powolnego Anglii emira i na tron właśnie wstąpił Amanullah. Ogłosił on wojnę świętą z Anglikami, która zakończyła się uznaniem na razie przez Anglię niepodległości Afganistanu i zaprzestaniem dalszego wypłacania emirowi renty.

Zwycięski Amanullah był jednak od początku słaby, stał się bowiem wodzem tylko nielicznych bogatych warstw, które już dusiły się w pętach dawnego ustroju i pragnęły prędzej przekształcenia tego ustroju według wzoru kapitalistycznych państw Europy.

Zaraz po dojściu do władzy działał Amanullah ostrożnie i powściągliwie, tego nie wywoływał sprzeciwu. Kiedy jednak po swej podróży po Europie — od Londynu do Moskwy — i po zwyciężeniu Turcji i Persji zaczął działać bezwzględnie, przeprowadzając reformy przyspieszające rozwój kraju, wrogowie jego — naczelnicy różnych plemion — wystąpili przeciwko niemu niby to w obronie zagrożonej religji i tradycji narodowej. Owi naczelnicy różnych plemion bali się reform Amanullaha, ponieważ były one wymierzone wprost w ich dotychczasową władzę i interesy.

Tylko że powstanie samych plemion zamieszkałych w Afganistanie mogłoby nie być jeszcze groźne dla Amanullaha, gdyby nie poparła tego powstania Anglja, lękając się zbytnej samodzielności Afganistanu.

Dzięki wmieszanu się Anglji walki w Afganistanie trwać będą napewno długo i mogą ulec licznym jeszcze powikłaniom. Chodzi bowiem Anglji o nielada stawkę: o spokjów Indjach.

Co warta jest siedmioletnia szkoła o jednej izbie?

W Polsce obowiązuje ustawa stanowiąca, że wszystkie dzieci w wieku od 7 do 14 lat winny uczęszczać (chodzić) do szkoły powszechnej. Innemi słowy każde dziecko w Polsce jest obowiązane uczęszczać do szkoły powszechnej przez siedem z kolei lat. Dlatego też ilość wiadomości, jakie dziecko winno zdobyć po ukończeniu całej szkoły powszechnej, została rozłożona odpowiednio na siedem lat nauki i tem samem szkoła powszechna składa się w Polsce z siedmiu oddziałów. Nauka w każdym oddziale trwa jeden rok szkolny i, jeżeli dziecko przyswoiło sobie przeznaczoną dla danego oddziału ilość wiedzy, w końcu roku szkolnego przechodzi do następnego oddziału, gdzie uczy się rzeczy trudniejszych, korzystając ze zdobytych już umiejętności. Jedynie dzieci chorowite, specjalnie niezdolne lub też wyjątkowo leniwe muszą czasem pozostać w tym samem oddziale na drugi rok, ponieważ w ubiegłym roku nie przyswoiły sobie przeznaczonych dla danego oddziału wiadomości.

Tem samem — jak widzimy — do każdego z siedmiu oddziałów

szkoły powszechnej chodzi gromadka dzieci rozporządzająca różnym zasobem wiadomości: do pierwszego np. oddziału chodzą dzieci uczące się dopiero czytać i probujące pierwszych sił w trudnej sztuce pisania i rachowania, w drugim oddziale dzieci umieją już płynnie czytać, a cały swój wysiłek w tym roku muszą skierować przedewszystkiem na wprawę w pisaniu i rachowaniu większych liczb. W trzecim oddziale czekają dziecko zadania jeszcze trudniejsze.

Ponieważ gromadka dzieci uczęszczająca do danego (pierwszego, drugiego i tak dalej) oddziału różni się zasobem zdobytych wiadomości od gromadek dzieci uczęszczających do innych oddziałów, jest rzeczą zrozumiałą, że aby każda gromadka dzieci mogła w sposób naprawdę owocny zdobywać przewidziane dla siebie w tym roku wiadomości, każda z nich musi przedewszystkiem na czas swej nauki mieć własną izbę szkolną i własnego nauczyciela. Jeżeli bowiem jeden i ten sam nauczyciel ma w jednej i tej samej izbie nauczać jednocześnie choćby tylko dzieci uczące się dopiero czytać

(pierwszy oddział) i dzieci umiejące już nieźle czytać a mające nabierać wprawy w pisaniu (drugi oddział), to — rzecz prosta — naprawdę jednocześnie tego czynić nie może i, kiedy naucza dzieci z pierwszego oddziału, to nie naucza dzieci z drugiego oddziału i naodwrot. Dzieci z obu oddziałów siedzą wówczas wprawdzie w szkole pełną liczbę godzin, ale uczą się naprawdę tylko przez część tych godzin.

Nauczyciel uczący w takiej izbie szkolnej jest w położeniu rolnika, którycy się uparł któregoś dnia jednocześnie młócić zboże w stodole i wywozić na pole gnój. Rzecz prosta, że, kiedyby młócił zboże, nie wywoziłby gnoju i naodwrot. Tylko, że podobnie głupiego rolnika nie uda się znaleźć na wsi. Każdy poradzi sobie w ten sposób, że jednego dnia będzie młócić zboże a drugiego wywozić gnój. Albo też przez pół dnia młócić zboże, a przez drugie pół dnia wywozić gnój.

Zdawałoby się, że i nauczyciel powinien postąpić w ten sam sposób. Dzieciom z pierwszego i drugiego oddziału kazać przychodzić do szkoły albo co drugi dzień albo też codziennie, ale na mniejszą liczbę godzin. W ten sposób byłby spełniony konieczny warunek owocnej pracy dzieci w szkole: gromadka dzieci z tego samego oddziału (o tym samym zapasie wiadomości) uczyłaby się osobno, miałaby na czas swej nauki własną izbę szkolną i własnego nauczyciela.

Dlaczego nie postępuje się obecnie w ten sposób w szkołach powszechnych na wsi?

Otóż dlatego przedewszystkiem, że położenie szkoły wiejskiej jest znacznie gorsze od opisanego wyżej przez nas przykładu (dwa oddziały w jednej izbie). W szkole powszechnej na wsi, składającej się zazwyczaj z jednej izby, uczą się nie tylko dzieci uczęszczające do szkoły pierwszy i drugi rok, ale dzieci uczęszczające do szkoły rok pierwszy, drugi trzeci, czwarty, piąty, szósty i siódmy. Gdyby więc każdej z tych gromadek dzieci kazać przychodzić do szkoły innego dnia, to dla jednej z nich zabrakłoby nawet dnia w tygodniu: dni pracy w tygodniu jest tylko sześć, a gromadek dzieci o różnym zasobie wiadomości siedem. Gdyby zaś kazać przychodzić każdej gromadce codziennie do szkoły, ale tylko na tyle czasu, przez ile może się ona uczyć naprawdę owocnie, to, ponieważ nauczyciel szkoły powszechnej jest obowiązany do pięciu godzin lekcyj dziennie, wypadłoby dla każdej z gromadek mniej, niż po godzinie nauki dziennie.

Dzieciaki wiejskie chodziłyby do szkoły albo codziennie, ale na niecałą godzinę, albo też chodziłyby do szkoły na cały dzień pracy, ale rzadziej, niż raz na tydzień. Tem samym byłoby dla całej wsi jasne, że dzieciaki wiejskie naprawdę nie mają się gdzie uczyć. Taka zaś świadomość wsi byłaby wysoce nie na rękę władzom szkolnym i dlatego kaza one nauczycielom wiejskim trzymać jednocześnie w jednej izbie wszystkie dzieci chodzące do szkoły. Bez względu na to, czy chodzą do szkoły rok pierwszy, czy drugi, czy czwarty, piąty, szósty czy siódmy.

Wprawdzie i tak nie jednego chłopca ogarnia czasem dziw, że dzieciak jego chodził do szkoły pilnie przez siedem lat a prostej prośby do urzędu napisać nie potrafi. Tylko że taki chłop myśli najczęściej, że to widać winien nauczyciel uczący w danej wsi czy gminie albo też że dzieciak widocznie leniwy, jak wół. Większość bowiem chłopów nie zdaje sobie sprawy z tego, że dzieciak jego tylko siedział przez siedem lat codziennie w szkole po parę godzin, ale uczył się naprawdę mniej, niż godzinę. I dlatego zdobył przez siedem lat chodzenia do szkoły zaledwie wiadomości wyznaczone dla pierwszych dwóch oddziałów. Bo i uczył się conajwyżej dwa lata, a resztę czasu tylko w szkole przesiedział.

Nie chcemy bynajmniej twierdzić, że wszyscy nauczyciele szkół powszechnych po wsiach umieją dobrze uczyć i że wszyscy wypełniają swoje obowiązki z wzorową pilnością. Wiemy dobrze, że tak nie jest. Chcemy jednak, aby chłop zrozumiał przede wszystkim następującą prawdę:

Póki siedmioletnia szkoła powszechna na wsi mieści się w jednej izbie i póki tem samym w tej samej izbie siedzą wszystkie dzieci chodzące do szkoły bez względu na swój wiek, nie może nawet najzdolniejszy i najbardziej pracowity nauczyciel wyłożyć dzieciom wie-

skim wszystkich wiadomości, jakie zdobywa dziecko chodzące do szkoły, gdzie każda gromadka dzieci uczęszczająca do szkoły tę samą liczbę lat ma przez cały dzień szkolny własną izbę szkolną i własnego nauczyciela.

Jest rzeczą zrozumiałą, że szkoła dwuizbowa o dwóch nauczycielach jest lepszą od szkoły jednoizbowej o jednym nauczycielu: w szkole dwuizbowej w jednej izbie szkolnej mogą jednocześnie siedzieć już nie wszystkie dzieci chodzące do szkoły, ale tylko po trzy — cztery gromadki dzieci o różnym zasobie wiadomości. Tem samym dzieci mogą więcej korzystać z nauki, niż w szkole jednoizbowej. Z tych samych powodów lepszą jest jeszcze szkoła o trzech, czterech i t. d. nauczycielach.

Tylko że w Polsce na 25610 szkół jest aż 13416 jednoizbowych i 5940 dwuizbowych, a tylko 2298 trzyizbowych i 3956 szkół więcej, niż trzyizbowych. Przytem szkoły więcej, niż trzy izbowe, znajdują się prawie wyłącznie po miastach. Szkoły wiejskie — to przede wszystkim szkoły jednoizbowe albo co najwyżej dwuizbowe, do których dzieci chodzą wprawdzie przez siedem lat, ale w których uczą się naprawdę znacznie krócej. Nic więc dziwnego, że po siedmiu latach wynoszą ze szkoły o wiele za mało wiadomości.

Nauczyciel.

Konto Administracji „Chcę poznać wszystko” —
P. K. O. Nr. 19103

Polski Kościół Narodowy.

Któż w Polsce nie słyszał o Polskim Kościele Narodowym, który — choć niezalegalizowany oficjalnie — szybko rozwija się i coraz więcej zdobywa sobie wyznawców?

Polski Kościół Narodowy — to jedna z licznych sekt, oderwanych od papieskiego Kościoła. Zwykłym powodem odrywania się tych sekt jest bezmierne zdzierstwo księży rzymskich i ich zbyt wyraźne wysługiwanie się panom i fabrykantom przeciwko chłopom i robotnikom. — Z podobnych powodów, choć w zupełnie innych okolicznościach, powstał i Marjawici.

Polski Kościół Narodowy powstał między emigrantami polskimi w Ameryce.

Wiemy wszyscy, że przed wojną emigracja ze wszystkich dzielnic Polski do Ameryki była bardzo liczna. W olbrzymiej większości jechali ludzie bardzo ciemni. Z ciemnoty tej olbrzymie zyski ciągnęli amerykańscy księża przy każdej okazji. W dodatku znaczna część parafij polskich w Ameryce obsadzona była przez nieumiejących po polsku księży Irlandczyków lub Niemców. A biskupami katolickimi byli niemal wyłącznie Irlandczycy.

W Ameryce, podobnie jak we Francji i w innych krajach posiadających zupełny rozdział Kościoła od Państwa, ślub ani chrzest kościelny nie mają żadnej prawnej wartości to znaczy, że obejść się bez księdza można doskonale, ale ciemnota emigrantów polskich była tak wielka, że nawet bez przymusu prawnego szli do księdza i płacili mu, ile kazał,

za tak zwane posługi religijne. Płacili, ale narzekali i szukali ratunku przed księdzem zdzierstwem.

Gdzie kościół oddzielony jest od państwa, tam księża nie otrzymują nic od rządu i rząd nie miesza się do wewnętrznych spraw kościelnych. Każdy obywatel może wówczas albo w nic nie wierzyć, albo zakładać jakie mu się spodoba sekty czy kościoły. Korzystając z tej swobody, niektórzy księża polscy postanowili uniezależnić się od biskupów irlandzkich i założyli własną organizację kościelną. Wiernych zjednali sobie głównie tem, że wszystkie posługi religijne — chrzty, śluby i pochówki — poczęli dawać znacznie taniej, niż prawowierni księża rzymscy.

Taniość ta bardzo ludziom przypadła do smaku, zdawało im się, że nowi księża — to jakieś anioły z nieba zesłane, aby ich ratować z rąk rzymskich wyzyskiwaczy i tłumnie ruszyli ku Kościołowi Narodowemu, porzucając księży rzymskich. Takie konkurencyjne, tańsze parafje polskie powstały w wielu miejscowościach — np. w Detroit, Cleveland, Chicago, Buffalo, Baltimore, Chicopee i t. d.

Ale według dogmatów katolickich ksiądz nie ma prawa wyświęcać drugiego księdza. Może to zrobić tylko biskup. Wobec tego księża tańsi doszli do wniosku, że muszą mieć swoich własnych biskupów, bo w przeciwnym razie cały interes upadnie, z braku nowych księży, Dnia 14 marca 1897 roku kilkaset rodzin polskich w Scranton w Stanie Pen-

sylvanja założyło formalnie pierwszą parafję nowego kościoła, nazywając go Polskim Kościołem Narodowym. Do organizacji tej przystąpiły potem liczne inne parafje polskie. Na czele zaś wszystkich stanął ks. Franciszek Hodur, wówczas proboszcz parafji św. Trójcy w Nanticoke. Wkrótce potem odbył się pierwszy Synod, czyli zjazd Polskiego Kościoła Narodowego.

Synod obwołał biskupem ks. Hodura, któremu święceń biskupich udzielił potem jeden z biskupów starokatolickich w Holandji.

Kościółem Starokatolickim nazywa się sekta, założona przez biskupów oderwanych od Rzymu po koncylium watykańskim w r. 1870, kiedy został ogłoszony dogmat nieomylności papieskiej. Część biskupów nie chciała uznać tej nieomylności i oderwała się, utworzywszy Kościół Starokatolicki.

Po otrzymaniu święceń z rąk prawdziwego biskupa, ks. Hodur począł być uważany również za biskupa i już sam wyświęcał innych biskupów.

Początkowo Kościół Narodowy w Ameryce rozrastał się bardzo szybko i doszedł do posiadania 70 parafij. Wkrótce jednak stary kościół Rzymski również poszedł na zniżkę cen i postarał się o mówiących po polsku księży dla parafij polskich. W ten sposób został zahamowany odpływ wiernych i rozrost Kościoła Narodowego. Bo i poco mieli ludzie przechodzić do innego kościoła, gdy w nim było tak samo, jak w starym?

Zrozumiała jest rzecz, że powstanie Kościoła Narodowego w Amery-

ce wywołało wielki gniew Kościoła Rzymskiego, który nie tylko ponosił z tego powodu wielkie straty pieniężne, ale i również na honorze cierpiał. Bo oto zjawili się inni księża, również w sutannach chodzący i również przez prawdziwego biskupa wyświęceni, którzy podstawiali nogi księżom rzymskim. Posypały się obfite klątwy na „narodowców“, którzy jednak nie wiele sobie z nich robili.

Pod względem wyznawanych wierzeń Polski Kościół Narodowy nie różni się od Kościoła Rzymskiego. Nie uznaje tylko władzy papieża i mszę odprawia nie po łacinie, lecz po polsku.

Przed wojną księża kościoła narodowego nie mogli przyjeżdżać do Polski, ponieważ nie wpuszczały ich rządy zaborcze. — Po wojnie jednak wnet przyjechali i znaleźli sobie możnych i wpływowych protektorów. Szczególnie gorliwymi zwolennikami Kościoła Narodowego okazali się inteligenci drobnomieszkańscy — niektórzy wyżsi urzędnicy, posłowie z robotniczych i chłopskich partyj ugodowych, adwokaci, lekarze, literaci burżuazyjni i t. p. — Ludzie ci sami dla siebie zwykle nie uznają potrzeby ani Kościoła Narodowego ani żadnego innego, chcieliby jednak bardzo, aby między chłopami i robotnikami szeroko rozpowszechnił się Kościół Narodowy. Mają oni nadzieję, że jeśli chłopci i robotnicy zajmą się gorąco sprawami kościelnymi, jeśli uwierzą, że nabożeństwo odprawiane po polsku, a nie po łacinie ma jakieś szczególnie wielkie znaczenie dla wyzwolenia ludu pracującego, to zamiast prowadzić walkę o swe ekonomiczne wyzwolenie, będą myśleli tylko o polskich

nabożeństwach w Kościele Narodowym. Tym działaczom szło i idzie o to, aby chłopom i robotnikom wydawało się, że Kościół Narodowy — to jakaś organizacja bardzo radykalna i wprowadzająca do kraju nowe, rzeczywiście demokratyczne urządzenia społeczne.

Pomimo woli pomagali im w tem bardzo wydatnie księża rzymscy i wszelkiego rodzaju prawowierne organizacje klerykalne. Księża bowiem od pierwszej chwili pojawienia się w Polsce przedstawicieli Kościoła Narodowego podnieśli przeciwko niemu wielki krzyk oburzenia i puścili w ruch wszystkie swe — bynajmniej nie małe — wpływy, byleby tylko nie dopuścić do legalizacji tej konkurencyjnej organizacji. Te zabiegi kleru rzymskiego uwieńczone zostały wynikiem pomyślnym, Kościół Narodowy bowiem do dnia dzisiejszego zalegalizowany nie jest. Przyniosło to jednak wyniki wprost odwrotne, niż spodziewali się księża rzymscy. Niezalegalizowani księża „polscy“ uchodzą w oczach ludzi naiwnych za męczenników, broniących sprawy ludu pracującego i nie tylko nie tracą wpływów, lecz cieszą się coraz to większem uznaniem.

W czasach ostatnich parafje Kościoła Narodowego mnożą się, jak grzyby po deszczu. Niektórzy nasi korespondenci piszą nam z ogromnem uznaniem o księżach „polskich“ i tak się cieszą z powstania parafji „polskiej“, jakby rzeczywiście stało się coś szczególnie pomyślnego dla ludu pracującego.

W oczach tych ludzi naiwnych Kościół Narodowy uchodzi za organizację prześladowaną. W rzeczywi-

stości jednak zgoła tak nie jest — pomimo tego, że formalnie dotychczas zalegalizowany nie został. Jeśli nawet zbyt powolne wobec księdza rzymskiego władze zrobią tu i owdzie jakąś przykrość księdzu „polskiemu“, to za tę drobną ofiarę jest on zwykle stokrotnie wynagradzany uznaniem parafjan, którzy stają w jego obronie, otaczają go szczególnem uznaniem i którym się zdaje, że mężnie wywalczyli sobie swego polskiego księdza.

U nas tak samo, jak w Ameryce, księża „polscy“ są tańsi, niż księża rzymscy. Parafjanie nieraz sprowadzają sobie księdza „polskiego“ tylko po to, aby uwolnić się od uciążliwych opłat kościelnych. Ale i to często okazuje się złudzeniem, ponieważ składki na wybudowanie nowej kaplicy i plebanji nieraz bywają barzo uciążliwe. Przytem Kościół Rzymski tak łatwo owieczek i dochodów z rąk nie wypuszcza i nieraz parafjanie utrzymywać muszą oba kościoły.

Niewątpliwą wprawdzie jest rzeczą, że Kościół Narodowy przynosi pewną szkodę Kościołowi Rzymskiemu, jednocześnie wszakże sieje bardzo szkodliwe złudzenia między ludźmi, którym się zdaje się, że dokonali jakiegoś wielkiego dzieła, gdy na miejsce mszy po łacinie, zdobyli tę samą mszę po polsku i gdy na miejscu jednego księdza postawili sobie drugiego.

I dlatego świadomi chłopci nie dadzą się zwieść jeszcze jednemu podstępowi przygotowanemu dla odwrócenia ich uwagi od naprawdę ważnych spraw ich życia.

Michał Pankiewicz

„Chłopi“ Reymonta.

Najgłośniejszą ze wszystkich książek o chłopach, jakie się dotąd w Polsce ukazały w druku, jest niewątpliwie powieść Władysława Reymonta pod tytułem „Chłopi“. Książka ta zyskała wielkie uznanie wśród mieszczaństwa, inteligencji i obszarnictwa nie tylko w Polsce, ale nawet i zagranicą, Przetłumaczono ją na wiele, wiele języków. Sam Reymont za jej napisanie uzyskał międzynarodową nagrodę literacką imienia Nobla, wynoszącą przeszło 200 tysięcy złotych.

Można śmiało powiedzieć, że „Chłopów“ czytał w Polsce każdy człowiek czytający książki. Nie czytało zaś tej książki jedynie miliony chłopów polskich, którzy zgoła nie wiedzą nawet, jak Reymont opisał ich życie w swojej sławnej powieści, jakie im dał wskazania i do jakiego celu dążyć nakazał. Ci zaś nieliczni chłopi, którzy książkę Reymonta znają bądź w całości (cztery duże tomy) bądź — bo to się zdarza najczęściej — tylko w urywkach, zostali przeważnie zwiedzeni wielką sztuką pisarską Reymonta i — oczarowani pięknymi opisami codziennego trudu chłopskiego zupełnie nie dojrzeli najczęściej głównych myśli i wskazań zawartych w „Chłopach“. Nie dojrawszy zaś tych myśli i wskazań, rozszerzają często wśród reszty chłopów fałszywe mniemanie, jakoby Reymont był pisarzem mas chłopskich. Że mniemanie to jest z gruntu fałszywe, postaramy się wykazać w dalszym ciągu naszych rozważań. Jedną ze spraw życia chłopskiego

opisaną przez Reymonta w „Chłopach“ jest walka chłopów z dworem o serwitutowe prawa chłopca. Pan bronił chłopu wstępu na „serwitut“. Chłop skarżył pana do sądu i przegrywał, bo sędzią był urzędnik broniący interesów pana. Walka ta trwała lata całe i dosięgła naszych czasów. Toć w ciągu ostatnich kilku lat ordynacja Zamoyskich wytoczyła chłopom ni mniej, ni więcej tylko 20 tysięcy spraw serwitutowych.

Dziedzic walczył z chłopami, jak mógł i jak umiał. Rąbał las w tem miejscu, gdzie ciążył serwitut, i w ten sposób pozbawiał chłopów ich praw. Przekupywał bogatych chłopów we wsi, by przy ich pomocy oszukać wieś. Znane są wypadki, że dziedzic udawał „brata“ chłopskiego, zabijał wołu, stawiał beczkę wódki, spraszał chłopów ze wsi, upajał ich i wtedy kazał im się podpisywać, że do niego „pretensji nie mają“. Pijany chłop, nie wiedząc, o co chodzi, myślał, że to może przeprosiny z panem, co mu dał wódki i kiełbasy, więc podpisywał się. Dopiero po wytrzeźwieniu dowiadywał się, że to był podpis nie na „pretensyją“, a na zrzeczenie się przez niego praw serwitutowych. Chłop, nie mogąc nigdzie znaleźć sprawiedliwości, stawał z kosą, cepami i widłami na granicy lasu i nie wpuszczał rębaczy pańskich. Dochodziło do bitwy, chłop szedł do więzienia, a pan wyrąbywał las i albo nie dawał chłopu żadnego wogóle odszkodowania albo takie, jakie sam wyznaczył.

Zobaczmy, jak Reymont tę walkę

chłopów z dworem opisał i jak ją próbował zażegnać.

Za głównego bohatera swojej powieści wziął Reymont bogatego chłopca Macieja Borynę. Wokół Boryny skupił wprawdzie masę chłopską, ale głównie opisał życie i troski chłopów zamożnych, zaś o życiu biedoty chłopskiej i wyrobników zaledwie gdzie niegdzie wspomiał. Wieś Lipce, gdzie mieszka Boryna, ma serwitut na dworskim lesie. Dziedzic próbuje przekupić trzech zamożnych chłopów we wsi, aby w ten sposób „wykwitować” resztę chłopów z serwitutu. Odbywa się narada z dziedzicem, ale dla jakichś nieznanymi powodów Boryny nie zaproszono na naradę. Boryna złości się i odgraża dziedzicowi. Na naradzie z dziedzicem zapadła taka umowa, że za namówienie całej wsi do zgodzenia się na odszkodowanie za serwitut według woli dziedzica, dwaj bogaci chłopcy dostaną wyłączne prawo na „furmanienie” przy wywozie drzewa z lasu.

Ci dwaj chłopcy rozumiają jednak, że bez Boryny się nie obejdzie, więc proponują mu spółkę. Boryna godzi się zdradzić całą wieś i przystąpić do spółki, ale gdy w tydzień potem przegrywa w sądzie sprawę z dworem o krówę, którą mu dwór zabił, zrywa z dworem i idzie na czele całej wsi do walki o serwitut. Dwór przystąpił bowiem do rąbania lasu w tym miejscu, gdzie chłopcy mieli serwitut, Boryna jedzie na czele całej wsi do lasu. Chłopcy uzbrojeni w widły, cepy i kosy wpadają — wbrew księdzu i kowalowi, którzy ich próbują powstrzymać — do lasu i żądają zaprzestania cięcia. Dwór wysyła dla odpędzenia chłopów

rzadcę z parobkami. Zawrzała walka, polala się krew. Chłopcy odnieśli w walce zwycięstwo. Stary Boryna został ciężko zraniony przez gajowego i leży trzy miesiące chory. Pewnego dnia półprzytomny wychodzi w pole, nabiera w fartuch piasku i sieje. Podczas siewu pada i umiera — do ostatniej chwili przywiązany serdecznie do rodzimej ziemi.

Tak przedstawiając walkę masy chłopskiej z dworem pod wodzą bogatego Boryny, Reymont chciał przekonać czytelnika, że sama biedota chłopska nie jest zdolna do zorganizowania walki o swoje słuszne interesy i byleby tylko dwór był rozumny i żył w zgodzie z bogatymi chłopami — jedynymi „przywódcami” biedoty chłopskiej — to dziedzice spać mogą spokojnie. Pod warunkiem jednak, że biednego chłopca uda się nadal trzymać na pasku księży uczących go, iż interesy ziemskie trzeba poświęcić w imię „zbawienia”, bo życie ziemskie i tak nic nie warte.

To też na stronnicy 253 tomu drugiego pisze Reymont o życiu w ten sposób:

«Jako to bydle, jarmem przygięte do ziemi, żyjesz człowieku, zabiegasz, turbujesz się, by dzień ten przeżyć, a nie pomyślisz nawet, co się okólnie dzieje, jakie to kadzielne zapachy wioną światem, od jakich świętych ołtarzy idą głosy, jakie uta one cuda są wszędy! Jako ten ślepy kamień pod wodą głęboko żyjesz człowieku... W ciemnicy, człowieku, orzesz żywota rolę i płacz zasiewasz, ten trud, ten ból.»

Taką pogardę życia rzuca Reymont, jako wskazanie dla chłopów, wyłączając jednak — jak się o tem przekonamy — chłopów bogatych. Reymonta codzienne bóle, troski

i potrzeby masy chłopskiej nic nie obchodzą, on zna tylko jedno wskazanie: cierpieć i cierpieć w imię życia pośmiertnego. W tomie czwartym na stronnicy 35 pisze:

«A by ci kto raje dawał — opuścić je musisz.

By ci kto wszystkie moce dawał — śmierć ci je wydrze.

By ci kto rozum przyznał największy — próchnem ostaniesz.

I nie przemożesz doli, mizeroto, nie przezwyciężysz śmierci, nie...

Boś ano bezbronny, słaby i płony, jako ten listeczek, który wiatr żenie po świecie.

Boś ano człowieku w pazurach śmierci, jako ten, z gniazda podebrany, co się puka radośnie, trzepoce; przyspiewuje, a nie wie że go wnet zdrażna ręka przydusi za gardziel i lubego żywota pozbawi.»

Według księdza przemawiającego po grzebie Boryny tak oto skarży się na obmierźłość ziemi dusza Borynowa w niebie (strona 39):

«Prawdę powiem kiej na spowiedzi. a to nie poradziłem dłużej wytrzymać na ziemi, bo tam już ludzie, jako te wilki, nastają na siebie, bo tam już jeno swary, a klótnie, a obraza Boska. Nie ludzie to, św. Piotrze, nie boskie stworzenia, a jeno te psy wściekłe i te świnię smrodliwe. i tak jest źle na świecie, że i nie wypowiedzieć wszystkiego...

Zaginął wszelki posłuch, zaginęła poczciwość, zaginęło miłosierdzie, brat powstaje na brata, dzieci na ojców, żony na mężów, sługa na pana. Nie uszanują już niczego ni wieku, ni urzędu, ni nawet księdza...

Zły zapanował w sercach, a pod jego przewodem rozpusta, a pijaństwo, a złościę krzewią się coraz bardziej.

Wszędy łajdus na łajdusie, a łajdusem poganiam. Wszędy jeno chytróseie, oszukaństwo, srogie uciski, a złodziejstwa, że co masz w garści nie popuść, bo ci wydrą.

By najlepszą łakę, a wypaszą i strastują.

By chociaż tę skibkę, a cudzego przyozą.

Byś nawet kurę puścił z obejścia, przychyca, kiej te wilki.

Kawałka żelaza nie przepomnij ni postronka, choćby były księżę, bo nie przepuszczą i ukradną.

Gorzalkę jeno piją, rozpustę czynią i w służbie Bożej całkiem się opuszczają, pogany te pieskie i chrystobije, że drugie żydy, a stokroć pocziwsze i bogobojniejsze.»

W ten sposób ksiądz pragnie wmówić chłopom, że nawet dusza Boryny ostrzega ich przed zachłannością i nieposzanowaniem pana i księdza. O krzywdach chłopskich ani słowa. Jak zaś dalece ksiądz tych krzywd biedoty chłopskiej nie widzi, najlepiej dowodzi tego wymyślona przez księdza odpowiedź świętego Piotra na skargi duszy Boryny:

— «Takięsta to, Lipczaki? Takie! A zbóje obmierźłe, a poganiny gorsze od Niemców! A to roki macie dobre, ziemie rodzajne, a paśniki, a łąki a boru po kawale i tak się to sprawiał... Chleb was ano roznosi, łajdusy jedne!»

Jak widzimy, nawet św. Piotr Reymonta widzi na wsi tylko bogatych gospodarzy, o nędzę mas chłopskich ani słówkiem nie zatracając. Za to bije z tego okrzyku św. Piotra wyraźne wskazanie dla bogatych chłopów, by z dworem do zgody szli, by cieszyli się ze stanu swego posiadania: z łąk, pól i borów. Radzi im Reymont, by nad masą biedoty chłopskiej objęli przewodnictwo w imię służenia tej właśnie zgodzie z dworem, przyciągając biedotę ku sobie jałmużną. Ksiądz woła na grzebie Boryny: „Biedotę wspomagał. Mówię wam, wspomagał.“

Rzuciwszy pod adresem wszystkich chłopów ciężkie oskarżenie, jakże Reymont tłumaczy chłopom złe po-

stępowanie księży i panów, które przecież chłop oglądał własnymi oczyma?

W historyjce o konającym chłopie, do którego ksiądz nie chciał przyjechać, gdyż jechał na karty do domu, tak Reymont tłumaczy chłopom nie-tykalność księży przez usta Matki Boskiej, którą żona chorego uprosiła w kaplicy przy drodze o łaskę:

«Bez księdza się nie obejdzie, kobieta jeno jestem, takiej mocy nie mam, jaką Jezus dał księżom.

Łajdus on jest, o naród nie dba zgoła, zły pasterz, odpowie za to strogo, ale on jeden ma moc rozgrzeszenia.»

(t. 2 str. 261)

Reymont nie ma tu na myśli tylko spowiedzi, w którą jakiś chłop konający mocno wierzy. Nakazuje on chłopom, by na krzywdy swoje ze strony księży zgoła nie zwracali uwagi, gdyż tego chłopu nie wolno. Ksiądz jest tylko od Boga zależny, a chłop powinien go słuchać i basta!

Co tam ksiądz robi, to już jest jego rzecz i Boga.

Nakazawszy posłuszeństwo dla księży, tak pochwała Reymont dziedziców przez usta proboszcza parafji lipeckiej:

«Zgodą tylko, moi drodzy zgodą. — Na zgodzie opiera się świat cały, zgodnie po dobroci to dwórby się ugodził z wami, mówił, wspominał mi coś o tem dziedzic, dobry to człowiek i chciałby to załatwić po sąsiedzku.»

(tom drugi strona 201)

Po bitwie o las i po pogrzebie Boryny tak znowu każe mówić „dobremu” dziedzicowi Lipców:

«Jeżeli komu żal Macieja, to mnie z pewnością najwięcej, bo żeby teraz żył, tobym się z wia ugodził dobrowolnie. Może i dałbym, czegoście pierwej chcieli!..

Ale mam to z kim pomówić? Przez komisarza nie chcę, a ze wsi nikt pierwszy się nie zgłasza!..» (t. 4 str. 45)

Winę więc za zabójstwa w walkach o ziemię i las zwała Reymont na chłopów, że to jakoby nie chcieli chłopci z dziedzicem dojść do zgody. Zaś na stronnicy 46 tomu 4., kiedy biedni chłopci nie wierzą w szczerłość dziedzicowych słów i prowadzą spór z bogatymi chłopami, mówiąc:

— „A przódzi to ino wiedział krzyczeć: z drogi chamie bo batem!”.

Reymont pisze, że byli ci biedni chłopci pijani, co właściwie znaczy: głupi. Trzeźwi byli tylko bogaci chłopci, jak kowal—zięc Boryny i wójta brat. To też czytamy dalej w powieści Reymonta, że ów kowal i brat wójta zaprowadzili chłopów do karczmy na naradę, a brat wójta „postawił” dla wszystkich. Przez to wyprowadzenie chłopów do karczmy przez bogatych daje Reymont jeszcze raz wskazania dziedzicom, że powinni oni uczynić bogatych chłopów komendantami nad biedotą chłopską.

Czci, jak widzimy, Reymont kult pieniądza i bogactwa, ale w rękach tych, co to bogactwo mają.

Chłop nie powinien się przeciwstawiać „urządzeniom boskim” i nie dochodzić swoich praw, zdając się na „wolę bożą” i łaskę pańską i księżą.

Pan jest u Reymonta uosobieniem rozumu i miłosierdzia. Chłop jest zdziczły w masie i tylko niektóry — bogatszy nadaje się do „interesu” ziemskiego.

A jeżeli ten „interes” ziemski, to panowanie nad biednymi źle poprowadzi pan z księdzem i bogatym chłopem, to odpowiedzą oni za to przed Bogiem w niebie..

Taki jest cel ogólny „Chłopów” Reymonta. Tak „znał” Reymont życie wsi, tak je rozumiał i tak o niem pisał. I dlatego masa chłopska nie uzna powieści Reymonta za swoją. Chłop w masie swej nie znajdzie w „Chłopach” ani swej ideologii i dążeń, ani duszy swej, ani tych trosk codziennych ani nawet swego prawdziwego życia rodzinnego. Reymont nie znał chłopów, a jedynie podpatrzył ich życie i wziął za wzór wyjątek z tej wiejskiej masy, wyjątek dla tego zły, aby na jego przykładzie tem łatwiej wysnuć swoje rady dla obszarników i bogatych chłopów.

Nie wiemy, jak długo czekać jeszcze przyjdzie na pisarza, który odtworzy w powieści rzeczywiste życie chłopów. Taka prawdziwa powieść o życiu chłopskiem miałaby błogosławione znaczenie. Ale napisać ją mógł tylko ten, kto z opisu życia chłopskiego pragnąłby wysunąć wskazania dla walki chłopskiej, a nie

wskazania dla dziedziców, jak walczyć z chłopem.

Nie wiemy — powiadamy — kiedy się ten pisarz chłopski zjawi, wiemy jednak na pewno, że ani tego cudzołóstwa, ani podpalań z zemsty, ani tej ojcobójczej walki, ani tej rozpusty dziewcząt wiejskich i temu podobnych brudów niema tyle na wsi, ile jest tych brudów właśnie w powieści Reymonta i u tych, których Reymont każe chłopom słuchać i czcić. Prawda, że chłopci walczą o swój byt, że żądają poszanowania dla siebie, że żądają skasowania krzywdy i przemocy. Ale to jeszcze nie zbrodnia! Chłop nie zrozumie takiego „opiekuństwa” czy „komenderstwa”, kiedy wolno mu tylko z głodu zdychać i wierzyć ślepo, iż gdzieś będzie miał za to zapłatę. Zwłaszcza, że dzień w dzień widzi chłop, jak nie spieszą się po ową zapłatę „na tamtym świecie” „opiekunowie”, których mu Reymont poleca.

Władysław Reymont

Walka o las.

(Urywek z „Chłopów”).

W umieszczonym artykule o «Chłopach» znajdzie czytelnik wyjaśnienie całego fałszu, z jakim Reymont opisał w swojej powieści społeczne życie wsi, jej nędzę, walkę i troski.

Tem nie mniej przytaczamy urywek z «Chłopów», aby pokazać lub przypomnieć naszym czytelnikom, jak pięknie potrafił Reymont opisywać codzienny trud chłopski. Dzięki tej bowiem umiejętności uważany jest czasem Reymont niesłusznie za chłopskiego pisarza przez samych chłopów.

Walili bór!

Więcej niżli czterdzieści chłopów pracowało od samego świtania, kiedy

to stado dzieciaków spadło na bór, przypięło się do drzew i kuło tak zawzięcie i zajadle, że drzewa padały jedno po drugim, poręba rosła, pocięte olbrzymy leżały pokotem niby łan strącony, a jeno jakiś niekaj, niby te osty kwarde, sterczały smukłe nasienniki, pochylając się ciężko, jako matki żałobnie płaczące nad pobitemi, jakiś niekaj szeleściły smutno krze niedocięte, to jakiś drzewina — mizerota, której topór nie chytał dygotała trwożnie—

na wszędy na płachtach śniegów po-
deptanych, niby na tych całunach
ostatnich, leżały pobite drzewa, kupy
gałęzi, wierzchoły martwe i kloce
potężne, obdartym i poćwiartowanym
trupom podobne, zaś strugi żółtych
trocin rozsącały się w śniegach, kieby
ta żalosna krew lasu.

Jęk jeno rozbrzmiewał po lesie,
ziemia drgała cięgiem od zwałonych
drzew, siekiery waliły bez przestanku,
zgrzyt pił nie ustawał, a świst gałęzi
niby ten wzdych ostatni, przedzierał
powietrze.

A chłopci rąbali zawzięcie, wżera-
jąc się w bór kiej te wilki, gdy sta-
da dopadną, a ono się zbije w kupe
i zdrętwiałe śmiertelnie, pobekujące
czeka, póki ostatnia owieczka nie
padnie pod kłami.

Dopiero po śniadaniu, gdy słońce
podniosło się dotela, że osędzielina
jęła skapywać, a złote pajaki światła
pełzały wskroś boru, dosłyszał ktosik
daleką wrzawę.

— Ludzie jakieś idą całą gromadą — rzekł któryś, przyłożywszy
ucho do drzewa.

Jakoż i gwar był coraz bliższy
i wyraźniejszy, że wnet rozległy się
pojedyncze okrzyki i głuchy łopot
wielu nóg, a nie wyszło i Zdrowaś,
kiedy na drodze, biegnącej od wsi,
zamajaczyły sanie, które wnet wy-
padły na porębę, stał w nich Bo-
ryna, a za nim konno, wozami
i piechty wysypywał się gestv tłum
kobiet, chłopów i wyrostków, a wszy-
stko to, podniesłszy srogie krzyk,
jęło gnać ku rębaczom.

Boryna zeskoczył ze sani i pognał
przodem; za nim zaś, gdzie kto ino
wziął miejsce, lecieli drudzy; kto był
z kijem, kto znów groźnie potrzychał

widłami, któreń cepy dzierzył mocno
w garści, inny kosą migotał, a inny
jeszcze z prostą gałęzią, a jak ko-
biety, to prosto z pazurami i wrza-
skiem, a wszystkie runęły na przera-
żonych rębaczów.

— Nie rąbać! Wara od boru! Nasz
las, nie pozwalamy! — wrzeszczeli
razem, że i nikto nie wyrzumiał,
czego chcieli, dopiero Boryna przy-
stanął przy struchlałych i ryknął, że
na cały las się rozległo:

— Ludzie z Modlicy! ludzie z Rze-
pek i skąd ta jeszcze jesteście, słu-
chajta!

— Przycichło dziebko, a on
znowu wołał:

— Zbierzta co wasze i idźta
z Bogiem, rąbać wzbraniamy, a któ-
renby nie usłuchał, z całym narodem
miał będzie sprawę...

Nie opierali się, boć srogie twarze,
kije, widły, cepy i tyła narodu rozgnie-
wanego, gotowego do bitki strachem
przejmowało, to zaczęli się zmawiać,
skrzykiwać, topory za pas wkładać,
piły zabierać i kupić do się z po-
mrukiem gniewnym, a zwłaszcza
Rzeczczaki, że to szlachta była od
wieków w kłótniach sąsiedzkich z Lip-
czakami, to wyklinali na głos, trza-
skali toporami, odgrażali się, ale,
chcąc nie chcąc, ustępowali przed
siłą, a naród zaś krzyczał groźnie,
następował na nich i wypierał w
bór.

Tymczasem dwór uprzedzony przy-
bywał rębaczom na pomoc.

Na czele parobków jechał rządcą,
wpadli na porębę ostro i zaraz z
miejsca, dopadłszy kobiet zaczęli je
prać batami, a rządcą, chłop kiej tur,
bił pierwszy i krzyczał:

— Złodzieje, wszarzel! Batami ich W postronki, do kryminału!

— Kupa, kupa, do mnie, nie dawać się! — wrzeszczał Boryna, bo naród już się rozlatywał zestrachany, ale na ten głos powstrzymali się w miejscu, nie bacząc na baty prażące niejednych już po łbach, w dyrdy, osłaniając rękami głowy, biegli do starego.

— Kijami psubratów! Cepami w konie! — krzyczał rozszochony stary i, porwawszy jakiś kół, pierwszy rzucił się na dworskich; a prał, gdzie popadło, za nim zaś, kiej ten bór wicherą gniewu przejęty, zwarły się chłopcy ramię w ramię, cepy przy cepach, widły przy widłach i z krzykiem ogromnym runęli na dworskich, prażąc, czem kto ino mógł dosięgnąć, aż zadudniało, jakby kto groch na podłodze kijem wyluskiwał.

Podniosły się wrzaski nieludzkie, przekleństwa, jęki rannych, głuche a gęste razy kółów, szamotania chrapliwe i dzikie pokrzyki pobojuwiska.

Dworscy bronili się tego, wymyślali i bili niezgorzej od chłopów, ale zaczęli się w końcu mieszać i cofać, bo konie smagane cepami stawały dęba i z kwikiem nawracały, ponosząc.

Skłębiło się wtedy wszystko znała, jak kiedy wicher uderzy niespodzianie w kopy, zamąci, że jeno jeden kłęb nierozeznany się uczyni, tacza po polu i przelewa po zagonach; krzyk się podniósł straszny i taki zamęt, taki wir, że już nic nie było widno, kromie splątanych kup, tarzających się po śniegach, kromie pięści walących z wściekłością, a czasem jakiś wydzierał się z kupy i uciekał kiej oszalały, ale nawracał

wnet i z nowym krzykiem, z nową wściekłością rzucał się do bitki.

Ale naród brał górę, zwarli się i pomieszali kiej te liście, każdego swego ułapił, dusił i taczał się z nim po śniegu, a baby dopadały z boków i dąry za kudły.

Wrzask był ano już taki, zamęt, kotłowanina, że swój swojego iedwie rozpoznał, ale w końcu przeparli dworskich, paru już z nich leżało pokrwawionych, a insze zaś, zmordowane, osłabłe, chyłkiem uciekały w las, tylko rębacze bronili się ostatkami sił, a nawet gdzie niegdzie prosili o miłosierdzie, ale że naród był rozszochony jeszcze bardziej na nich, niżli na dworskich, że rozgorzał kiej ta zagiew na wietrze, to próśb nie słuchał i na nic nie baczył — jeno prał z całą wściekłością.

Porzucili kije, cepy, widły a zwarli się na moc chłop z chłopem, pięść na pięść, siła na siłę, gnięli się tak ano, dusili oździerali, że już przymilkły wrzaski, a tylko ciężkie charczenia, kłątwy, a szamotania słychać było.

Taki się sądny dzień zrobił, że i wypowiedzieć niesposób!

Wreszcie bitka się skończyła i Lipczaki, choć zmordowani, pokaleczeni, okwawieni, napelniali las radośną wrzawą.

Ludzie wracali bezładnie, kupami, jak komu lepiej było, a lasem, bo środkiem drogi szły sanie z poranionymi, jaki taki jęczał i postękiwał, a reszta śmiała się głośno, pokrzykując wesoło i szumnie. Zaczęli opowiadać sobie różności, a przechwalać się z przewagi i przekpiwać z pokonanych, gdzie niegdzie już i śpiewy zaczęły się rozlewać, ktoś znów krzykał na cały bór, aż się rozlegało, a

wszyscy byli pijani triumfem, że nie-jeden zataczał się na drzewa i potykał o lada jaki korzeń!...

Mało kto czuł pobicie i zmęczenie, bo wszystkie serca rozpieierała nieopowiedziana radość zwycięstwa, wszyscy pełni byli wesela i takiej mocy, że niechby się kto sprzeciwił,

na prochby starli, na cały światby się porwali.

Szli mocno, głośno, hałaśliwie, tocząc jarzącymi oczami po tym borze zdobytym, któren chwiał się nad głowami, szumiał sennie i sypał na nich rosisty opad osędzielzny — kieby temi łzami pokrapiał.

O znaczeniu słońca i powietrza dla zdrowia

Słońce, jako źródło światła i ciepła, odegrało niesłychanie ważną rolę w kształtowaniu się życia na ziemi. Gdyby ziemia nie podlegała wpływom promieni słonecznych, świat roślinny i zwierzęcy nie mógłby się wytworzyć.

Zależność roślin od światła jest powszechnie znana. Pod działaniem promieni słonecznych w komórkach liści tworzą się ziarenka zieleni czyli chlorofilu.

Pobieranie węgla z powietrza w postaci bezwodnika kwasu węglowego, który jest potrzebny do budowania ciała rośliny, przy braku słońca nie może się odbywać. Rośliny hodowane w ciemności są blade, gdyż liście ich nie posiadają dostatecznej ilości zieleni, i giną w krótkim czasie.

Światło słoneczne wpływa również na kształtowanie się roślin. Łatwo można zauważyć, że rośliny rosnące w cieniu, mają długie łodygi, wygięte w stronę światła, bo roślina wychyla się do słońca.

Jednakże istnieje wiele roślin, które, żyjąc od wieków w cieniu, przystosowały się do życia w ciemności.

Do rzędu takich roślin należą grzyby, pleśnie, bakterje. Rośliny te nie posiadają zieleni (chlorofilu) i dlatego nie pobierają z powietrza pokarmu prostego i niezłożonego, natomiast posiadają podobnie do zwierząt zdolności żywienia się pokarmami złożonymi t. zw. ciałami organicznymi.

U zwierząt odżywianie nie jest tak ściśle zależne od światła, jak u roślin. Zwierzęta, a więc i człowiek podobnie jak rośliny bezchlorofilowe mogą dłuższy czas żyć w ciemności. Szkodliwy wpływ braku światła daje się zauważyć dopiero po pewnym czasie.

Człowiek pozbawiony na długo słońca staje się bladej, niedokrzwisty, osłabiony, mało odporny na choroby.

Promienie słoneczne, przenikając przez skórę, działają skutecznie na krew zawartą w naczyniach krwionośnych. Pod wpływem słońca ilość barwnika, zawartego w czerwonych ciałkach krwi, może wzrastać, podobnie jak się to dzieje z zielenią u roślin. Od zawartości zaś czerwonego barwnika czyli hemoglobiny zależną jest mniejsza lub większa zdolność

pochłaniania przez organizm tlenu. Stwierdzono doświadczalnie, że na świetle organizm zwierzęcy przy oddychaniu wydziela więcej bezwodnika kwasu węglowego i pobiera więcej tlenu z powietrza, aniżeli w ciemności. Dowodzi to, że utleniania pod wpływem działania promieni słonecznych odbywa się energiczniej. A więc światło ma wpływ na przemianę materji w naszym ciele.

Powolny proces utleniania, powolna przemiana materji osłabia organizm i zmniejsza jego odporność na choroby i dlatego ludność uboższa, zamieszkująca ciemne izby, do których promień słoneczny nigdy nie zagląda, daje największą liczbę chorych.

Wiadomo, że powietrze jest mieszaniną gazów, z których najważniejsze są: tlen, azot i bezwodnik kwasu węglowego. Tlen posiada tę własność, że podtrzymuje palenie i jest niezbędny dla wszystkich istot żyjących, zarówno zwierząt jak roślin.

Gdyby powietrze tlenu nie zawierało, żadna istotna żywa żyłaby nie mogła.

Tlen z powietrza pobieramy przy oddychaniu. A trzeba wiedzieć, że rośliny także „oddychają” czyli pobierają tlen z powietrza. Organizmy zwierzęce, posiadające płuca, tą drogą otrzymują tlen, gdy ryby np. pobierają tlen z wody, przepływającej przez skrzel. Przy każdym wdechu wprowadzamy do płuc powietrze razem z zawatym w niem tlenem. W płucach poprzez cienkie ścianki pęcherzyków płucnych tlen łatwo przedostaje się do otaczających je naczyń krwionośnych, zostaje pochło-

nięty przez czerwone ciała krwi i dostarczony do wszystkich narządów i tkanek, gdzie następuje utlenienie wsiąkniętych przerobionych pokarmów, na skutek czego wytwarza się ciepło i siła nerwowa i mięśniowa organizmu.

Przy każdym utlenianiu czyli spalaniu, powstaje produkt nowy, gaz, zwany bezwodnikiem kwasu węglowego, który nie podtrzymuje palenia i który niezdatny jest do oddychania. W naszym organizmie na skutek spalania pokarmów w tkankach tworzy się on również, przechodzi do krwi i ze krwią żylną wracającą do serca przez płuca, przy wydechu zostaje nazewnątrz wydalony.

Oczyszczona w ten sposób krew znowu przy wdechu pochłania tlen i wlewa się do serca już odświeżona, by dalej odbyć tę samą wędrówkę po ciele.

A więc przy wydechu wydzielamy powietrze bogate w bezwodnik kwasu węglowego. Jest to powietrze zanieczyszczone. Szkodliwy wpływ zepsutego przez oddychanie powietrza możemy widzieć na ludziach zgromadzonych przez czas dłuższy w lokalach zamkniętych. Uczestnicy zebrani stopniowo zaczynają doznawać przykrego uczucia duszności, bólu głowy wreszcie mdłości, co dowodzi, że wystąpiły objawy zatrucia bezwodnikiem kwasu węglowego, nagromadzonym w lokalu na skutek oddychania ludzi. Po wyjściu na świeże powietrze objawy zatrucia wkrótce znikają, gdyż organizm zaspokoil swój głód tlenowy.

Powietrze bywa zanieczyszczane bezwodnikiem kwasu węglowego nie tylko przy oddychaniu, najwięcej tego

gazu powstaje przy spalaniu węgla w piecach domowych, fabrycznych, w parowozach. Wszystkie również rodzaje oświetlenia, oprócz elektrycznego, zanieczyszcza powietrze. Powietrze w okolicach fabrycznych przesiąknięte jest dymem i z tego powodu powietrze w miastach o wiele jest gorsze, niż na wsi.

Poważną rolę w oczyszczaniu powietrza odgrywa zadrzewienie. Co prawda, jak powiedzieliśmy, rośliny również oddychają, czyli pobierają tlen z powietrza i wydają bezwodnik kwasu węglowego, ale, poza procentem utleniania, rośliny zużywają znaczne ilości potrzebnego dla nich węgla i dlatego przyczyniają się do oczyszczania powietrza z bezwodnika kwasu węglowego. Względnie zdrowotne każą więc dbać o możliwie obfite zadrzewianie osiedli oraz ochronę lasów okolicznych.

Naogół nie docenia się znaczenia świeżego powietrza dla zdrowia. Ludzie boją się wietrzyć mieszkania, „bo się oziębi”, strach przed przeciągami posuwają do przesady. Tymczasem, jak widzieliśmy, dla zdrowia organizm wymaga jaknajwięcej świeżego powietrza, zwłaszcza gdy chodzi o organizmy dziecięce. Zielonoszarych, niedokrwistych, obarczonych krzywicą, smutnych, skryficznych dzieci spotykamy najczęściej w ciemnych, pełnych zaduchu przeludnionych izbach.

Rozumnym obowiązkiem człowieka jest dbanie o swe zdrowie. Budujmy nasze domki z największą ilością okien, zwróconych do słońca i wpuszczajmy do naszych mieszkań jak najwięcej powietrza.

Dr. A. Rząśnicki

Rentowność a gospodarka chłopska

W poprzednim numerze wykazaliśmy z całą dokładnością, dlaczego w gospodarstwach małych i średniorolnych chłopów nie sposób obliczyć ściśle wysokości czystego dochodu za dany rok. Przypominamy, że na przeszkodzie temu staje fakt, że w wydatkach potrzebnych na utrzymanie i uruchomienie chłopskiego warsztatu rolnego brak tak ważnych wydatków, jak wydatki na robociznę. W chłopskim gospodarstwie pracuje bowiem naogół nie pracownik najemny, ale sam gospodarz i jego rodzina.

Można wprowadzić — jak widzieliśmy — oszacować pracę gospodarza i jego rodziny według stawek płaconych robotnikom rolnym w tym samym powiecie, obliczyć w ten sposób wartość włożonej w gospodarstwo pracy i tem samem otrzymać całość wydatków gospodarstwa. W poprzednim numerze wyjaśniliśmy, dlaczego taki rachunek nie ma w stosunku do małych i średniorolnych chłopskich gospodarstw naprawdę żadnej wartości i na jakim fałszywym opiera się on założeniu (chłop gospodarzu-

jący na własnym kawałku ziemi powinien być wynagradzany równie marnie, jak robotnik najemny pracujący na „pańskim“.). Dlatego też wypowiedzieliśmy się przeciwko uważaniu wysokości czystego dochodu i tem samem wysokości renty za miarę pomysłności gospodarczej mało i średniorolnych chłopów.

Nie każdy może jednak z naszych czytelników zwrócić należną uwagę na to, że cały czas pisaliśmy nie o wszystkich chłopach, ale wciąż wyraźnie tylko o mało i średniorolnych. Obecnie chcemy wyjaśnić bliżej, dlaczego wszystkie rozważania nasze zawarte w ostatnim numerze nie mogą się odnosić do wszystkich gospodarstw chłopskich, lecz muszą się ograniczyć jedynie do mało i średniorolnych. Tem samem raz jeszcze zostanie obalone bałamutne twierdzenie o wspólności interesów całej masy chłopskiej. Okaze się bowiem, że interesy bogatych chłopów są o wiele bardziej wspólne z interesami obszarnictwa, niż z interesami mało i średniorolnych chłopów.

Otóż na podstawie badań Instytutu Puławskiego, z których przez cały czas korzystamy, można ustalić, że w zbadanych przez Instytut gospodarstwach chłopskich od 15 do 30 hektarów ilość dni robocizny donajętej wynosiła średnio w roku po przeszło 450 dni roboczych wobec 600 dni roboczych rodziny, w gospodarstwach zaś chłopskich od 30 do 50 hektarów ilość dni robocizny donajętej wynosiła średnio w roku po przeszło 900 dni wobec niecałych 600 dni roboczych rodziny.

Z powyższych liczb widać wyraź-

nie, jak ważną rolę odgrywa robocizna donajęta w gospodarstwach bogatych chłopów: w gospodarstwach chłopskich od 15 do 30 ha. wynosi ona niemal połowę całej pracy ludzkiej włożonej w gospodarstwo; w gospodarstwach chłopskich od 30 do 50 ha. niemal dwie trzecie tej pracy.

Innem słowy możnaby powiedzieć, że rodzina chłopska w gospodarstwie od 15 do 30 ha. pracuje sama tylko na połowie posiadanej ziemi, drugą zaś połowę swego gospodarstwa obrabia za pomocą sił najętych. Podobnie rodzina chłopska w gospodarstwie od 30 do 50 ha pracuje sama już tylko na jednej trzeciej posiadanej ziemi, dwie trzecie zaś swego gospodarstwa obrabia wzorem obszarników za pomocą sił najętych. Tem samem gospodarstwa chłopskie od 15 do 50 ha. przestają być dla ich właścicieli-chłopów jedynie warsztatem własnej pracy, jak to ma miejsce w mało i średniorolnych gospodarkach ale stają się również narzędziem otrzymywania dochodów z pracy innych ludzi.

Im większe przytem gospodarstwo, tem coraz mniejszą rolę odgrywa ono jako warsztat własnej pracy chłopca właściciela, a tem większą, jako narzędzie otrzymywania dochodów z pracy innych ludzi: gospodarstwa chłopskie od 15 do 30 ha są — jak widzimy — jeszcze w połowie warsztatami własnej pracy właścicieli, gospodarstwa chłopskie od 30 do 50 ha. są takimi warsztatami już tylko w jednej trzeciej.

Gospodarstwa mało i średniorolne to wyłącznie warsztaty własnej pracy rodziny chłopskiej, gospodar-

stwa obszarnicze to wyłącznie narzędzia otrzymywania dochodów dzięki władaniu warsztatem pracy najmniejszej. Gospodarstwa bogatych chłopów stanowią ogniwo pośrednie między gospodarstwami małym i średniorolnymi a gospodarstwami obszarniczymi. Są one wprawdzie w części warsztatami własnej pracy rodziny chłopskiej, ale jednocześnie są narzędziem otrzymywania dochodów dzięki władaniu warsztatem pracy najmniejszej. Im bardziej maleje ich rola, jako warsztatów własnej pracy rodziny chłopskiej, tem bardziej i bardziej interesy właścicieli takich gospodarstw czyli bogatych chłopów zespala się z interesami obszarnictwa, a różnią się od interesów małym i średniorolnych chłopów.

Ale i tak istnieje bezwzględna przewaga wspólności interesów wszystkich gospodarstw bogatych chłopów z obszarnikami nad wspólnością interesów z małym i średniorolnym chłopstwem.

Dlatego też bogatym chłopom podoba się naogół bardzo obszarniczy sposób mierzenia swojej pomysłowości gospodarczej wysokością renty majątkowej osiągniętej w danym roku: sposób ten jest im przede wszystkim dlatego bliski, że bogaty chłop bardzo interesuje się wartością swojej gospodarki i bada, czy ta gospodarka w stosunku do swej wartości zapewnia mu dostateczny procent czystego dochodu. Właśnie bogate chłopstwo przyjęło od obszarnictwa pojęcie rentowości i szerzy je po wszystkich kółkach rolniczych i innych wielkochłopskich organizacjach gospodarczych, starając się podporządkować swoim interesom masę małym i średniorolnych chłopów.

Widzimy, że gospodarstwo chłopskie zalicza się do gospodarstw bogatych chłopów na podstawie rozmiarów pracy najmniejszej stosowanej w tem gospodarstwie w stosunku do pracy własnej rodziny chłopskiej. Trudno bardzo jednak ustalić ściśle w liczbach, jaką część własnej pracy rodziny chłopskiej musi stanowić praca donajęta, aby gospodarstwo, chłopskie zaliczyć do gospodarstw bogatych chłopów. Bo i naprawdę dorastanie większego gospodarstwa średniorolnego do gospodarstwa bogatego chłopca nie dokonywuje się żadnym nagłym skokiem, ale całym szeregiem drobnych ulepszeń i korzyści. Jedno można jednak ustalić z całą pewnością: jeżeli rodzina chłopska po zużyciu pracy wszystkich członków rodziny uprawia sama za ledwie połowę posiadanej ziemi, a drugą połowę uprawia przy pomocy najemników, to gospodarstwo takiej rodziny chłopskiej zaliczyć należy z pewnością do gospodarstw bogatych chłopów (tej miary nie można stosować do gospodarstw chłopskich nierozporządzających pracą normalnej rodziny: gospodarstwa inwalidów, wdów i t. p.)

Mamy nadzieję, że rozważania nasze doprowadziły do zrozumienia tej starej prawdy, że dwa przeciwstawne sobie pod względem interesów obozyna wsi to z jednej strony obszarnicy i bogaci chłopci a z drugiej strony chłopci małym i średniorolni oraz chłopci wyzuci zupełnie z ziemi. A nie, jak to się często masom chłopskim zdaje, z jednej strony cała gromada chłopska a z drugiej obszarnicy.

Stefan Zawadzki

Odpowiedzi Redakcji

Michał Czechowicz. Za słowa uznania serdecznie dziękujemy. Dla takich, jak Wy właśnie pismo nasze est przeznaczone — «Światło» jest organizacją stawiającą dopiero pierwsze kroki. — Statut i instrukcje prześlemy.

Jerzy Baj. — Pismo będziemy Wam wysyłać, a jak będziecie mogli, to zapłacicie.

Urban Władysław. — Za list dziękujemy. — Niestety — na wysłanie darmo książek nie posiadamy funduszów. Jeśli zbierzecie nieco pieniędzy i prześlecie, to za przesłaną sumę możemy Wam wybrać książki i posłać.

Hieronim Łęgas. — Za list dziękujemy. — Postaramy się dać artykuły na żądane przez Was tematy. — Zapisaliśmy je dla naszych współpracowników.

Franciszek Lubas. — Cieszymy się, że Wam się pismo podoba. — Za list dziękujemy.

Piotr Przywara. — Za uwagi redakcyjne — dziękujemy. Obszerny Wasz list bezpośrednio do druku nie nadaje się, ale zachowamy go, jako cenny materiał redakcyjny. Być może, że w niektórych artykułach naszych znajdziecie odpowiedzi na liczne, poruszone w nim sprawy; albo też pewne jego części wprowadzimy do naszych artykułów.

St. Kuba. — Korespondencje czytelników będziemy umieszczać bardzo chętnie w miarę otrzymywania. O przysłanie zapowiedzianego utworu uprzejmie prosimy — a czy będzie nadawał się do druku, zadecydujemy po przeczytaniu. — Za słowa uznania dziękujemy.

ADMINISTRACJA

„CHCĘ POZNAĆ WSZYSTKO“

WZYWA DO JAK NAJSZYBSZEGO WPLACANIA PRENUMERATY
NA ROK 1929 (KWARTALNIE 1 ŻŁ. 50 GR.; PÓLROCZNIE 3 ŻŁ.;
ROCZNIE 6 ŻŁ.)

na konto Administracji w P. K. O. Nr. 19103

TREŚĆ: Afganistan; Co warta jest siedmioletnia szkoła w jedne izbie — *Nauczyciel*; Polski Kościół Narodowy — *Michał Pankiewicz*; «Chłopi» Reymonta; Walka o las — urywek z «Chłopów» — *Władysław Reymont*; O znaczeniu słońca i powietrza dla zdrowia — *Dr. Adolf Rzańnicki*; Rentowność a gospodarka chłopska — *Stefan Zawadzki*; Odpowiedzi Redakcji

Prenumerata wynosi: roczna 6 zł., półroczna 3 zł., kwartalna (za sześć numerów) 1 zł. 50gr. Pismo będzie ukazywać się dwa razy na miesiąc: 7 i 22 każdego miesiąca. Adres Redakcji i Administracji Warszawa, Nowogrodzka 21.

Redaktor i wydawca Dr. ADOLF RZAŃNICKI.

Druk. J. GRABSKI. Warszawa, Szara 10 Tel. 128-17